

## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Numer ten jest nadliczbowy, bo zwykle wychodzi 52 na rok; dla tego też nie mieści w sobie Dodatków, tylko Spis przedmiotów.

### POSTANOWIENIE.

W wychodzącej w Warszawie gazecie polskiej „Dziennik Dla Wszystkich” pod redakcją Henryka Perzyńskiego, zamieszczony został w nr. 282, z dnia 5 (17) Grudnia r. b. artykuł p. t. „Zajście”. W artykule tym zamieszczono, iż w dniu 4 (16) Grudnia w godzinach popołudniowych, przy przejściu przez ulicę Muranowską, roznosiciela opłatków z koszykiem, w którym się też opłatki znajdowały, a który pokryty był serwetką, z wyszytym na niej krzyżem, żydzi ciągle opluwali, a gdy wskutek tego roznosiciel udzielił kilku z nich moralną nauczkę, to kilkudziesięciu żydów tłumnie rzuciło się na niego i pobiło go sromotnie, przyczem koszyk z opłatkami rozdeptany został przez napadających. Na krzyk pobitego nadbiegła policya, która odprowadziła główniejszych awanturników do cyrkułu.

Z otrzymanego przezemnie raportu warszawskiego oberpolicmajstra d. 8-go b. m. okazuje się, iż opisany wypadek nie wydarzył się w żadnej miejscowości m. Warszawy.

Z powodu tego: biorąc pod uwagę, iż wspomniana wiadomość opisująca czelny napad żydów na chrześcianina i podeptanie przez nich przedmiotów religijnych, może bez po-

trzeby drażnić uczucie religijne miejscowych chrześcian i rozbudzać w nich nienawiść do żywiołu żydowskiego ludności miejscowej, co z kolei może niepomyslnie odbić się na spokoju publicznym — uznaję za konieczne postanowić i postanawiam:

Z mocy udzielonej mi w myśl prawa z dnia 20 Września 1876 r. władzy, redaktora gazety „Dziennik Dla Wszystkich,” za zamieszczenie przezeń wyżej wymienionej fałszywej wiadomości, skazać na karę pieniężną w sumie rs. 1,000 wraz z niemożności zapłacenia takowej, na trzy miesiące aresztu i zakomunikować o tem dla bezzwłocznego wykonania warszawskiemu oberpolicmajstrowi.

Warszawa, d. 8 (20) Grudnia 1887.

Na oryginalne podpisano:

Warszawski Generał-Gubernator  
Generał-Adjutant

**Hurko.**

Dyrektor kancelaryi Kornilow.

Zgodnie z oryginałem

Starszy referent Szyrajew.



## GOŁĄB.

Z rodzinnego gołębnika  
W dalekie krainy  
Raz gołąbka sokolika  
Pan wziął od rodziny;

Za dziesiątą górą, rzeką,  
Za dwudziestym borem,  
Pan za ziemią swą daleką  
Tęskni sercem chorem;

Tęskny liścik gołąbkowi  
Wnet u szyi wiąże:  
— Leć, gołąbku, ku domowi,  
Nim ja tam podążę.

Leci gołąb, leci, leci,  
I nie zmyli drogi,  
Do rodziców, braci, dzieci,  
Na rodzinne progi.

I człowiekby nie zabłądził  
W życia swego drodze,  
Gdyby zawsze los mu sądził  
Serce mieć za wodze.

M. Ziel.

## OMYŁKA HALINY.

W gościnnym domu państwa L. na wsi zebrała się podczas wakacyj liczna i wesoła gromadka młodzieży. Państwo L. mieli tylko dwoje własnych dzieci, Konrada, który już do szóstej klasy przeszedł w tym roku i Halinę, kończącą pensję w Warszawie. Rodzice pozwolili im zaprosić na całe wakacje kolegów i koleżanki, więc Konrad przywiózł z sobą czterech młodzieńców ze swojej klasy, którzy mając rodziców stale zamieszkałych w Warszawie, bardzo byli radzi, że się na wieś dostaną. Halinka zaprosiła cztery panienki, znajdujące się w tem samem położeniu, cichy zazwyczaj dom wiejski ożywił się i rozweselił.

Nie sądźcie, ażeby młodzież ta próżnowała. Nie, oni wszyscy rozumieli, że nawet i czas wypoczynku po pracy nie powinien być próżniactwem. Konrad przyzwyczajony był podczas każdej bytności w domu pomagać ojcu w gospodarstwie, towarzysze z rozkoszą dzielili te jego zajęcia. Halinka, chociaż kończyła wychowanie na pensji w Warszawie, znała doskonale wiejskie gospodarstwo kobiece, lubiła je niezmiernie i wyręczała z ochotą matkę, koleżanki zaś gorliwie się do niej przyłączały.

W niedziele i dni świąteczne, po powrocie z parafialnego kościoła, układano zazwyczaj wspólne jakieś wycieczki, dalekie przechadzki piesze lub przejażdżki na wozach, usłanych sianem i dywanami przykrytych, urządzano podwieczorki w lesie i tym podobnych używano przyjemności. Młodzież ta była dobrze wychowana, chłopcy umieli zachować się uprzejmie względem panienek, a te nie dokuczały chłopcom, chyba tak czasem, troszkę, dla żartu, wszystko więc odbywało się jaknajprzykładniej.

A jednak ktoby był uważnie przypatrywał się stosunkom wzajemnym tej gromadki, spostrzegłby był lekki, bardzo lekki, lecz wyraźny cień niechęci, okazywany stale przez Halinę jednemu z kolegów brata. Chłopiec ten imieniem Stefan był dość wątłego złożenia, trochę bladawy, jak to często u mieszkańców miasta się zdarza, musiano go też w domu trochę zanadto delikacją, bo miał niektóre przyzwyczajenia, właściwsze chorowitym starcom, niż młodzieży. Wieczorem, byle tylko cokolwiek pochlodziła, zaraz brał na siebie cieplejsze okrycie, w dni słotne nie wychodził z domu, we wszy-

stkiem okazywał zbyteczną ostrożność. Gdy go Konrad chciał uczyć konno jeździć, nie mógł się odważyć wsiąść na konia, dlatego że parskał i ziemię grzebał kopytami, długi się namyślał, wahał, nim wreszcie tego bohaterskiego czynu dokazał. Gdy szli na przechadzkę, Stefan zawsze przestrzegał, aby nie puszczać się nieopatrznie tam, gdzie można byłoby natrafić na mocz, aby się nie opóźnić, bo wieczorem za ziębić się łatwo i t. d.

Drażniło to niewypowiedzianie żywą i wesołą Halinkę często też, zapominając o grzeczności należnej gościowi, szydziła ze Stefana i prześladowała go różnemi złośliwemi przyśmiewkami. Jeżeli zaś nic nie powiedziała, gdy młodzieniec odezwał się z jakim zdaniem, według niej śmiesznem, umiała tak wymownie spojrzeć, mrugnąć, wzruszyć ramionami, że zawsze obecnych do śmiechu pobudziła. Stefan znosił to z największą cierpliwością, nigdy się nie odciął, nigdy nie dał poznać, że go to obrażało, tylko stawał się coraz bardziej milczący i nieśmiały. Konrad wymawiał to siostrze, mówił:

— Ty nie wiesz, Halinko, on jest jedynakiem u rodziców, którzy go nad życie kochają. Zawsze był wątły, chorowity, przyzwyczajono go do ostrożności, dla nas zbytecznych. Jestże tu z czego szydzić?

— Ach, bajesz, mój Konradzie — odpowiedziała Halina niecierpliwie — teraz przecież jest zdrów zupełnie i powinien rozumieć, że to śmiesznie dla mężczyzny być piecuchem i tchórzem.

— Tchórzem? Jakże ty możesz, Halinko, nazywać Stefana tchórzem?

— Jakże to nazwać, że boi się nóg zamoczyć, boi się wierzgającego konia i tylu innych rzeczy?

— Nie boi się, ale nie widzi potrzeby narażać się, jeżeli nikomu ztąd nic nie przyjdzie.

— Ej, daj pokój, nie broń tego papinkowatego Stefana, niecierpię go — zawołała Halinka i wybiegła z pokoju, nie chcąc dłużej słuchać napomnień brata.

Pewnej niedzieli państwo L. spodziewali się gości, nie wychodzili więc z domu po obiedzie, ale młodzież nie potrzebowała siedzieć, wybrano się więc na pieszą przechadzkę, pani L. kilkakrotnie wołała za odchodzącymi, aby wcześniej wracali. Przechadzka udała się wybornie, rozmawiano wesoło, śpiewano chórem, zbierano rośliny do zielników, przyczem panienki ułożyły parę bukietów z dzikich kwiatów. Konrad pierwszy spojrzał na zegarek i wspomniawszy o powrocie, wcześniej było jeszcze, ale do domu dość daleko, więc nikt nie oponował i gromadka puściła się w drogę.

Przechodzili przez piękną, rozległą łąkę, przerzniętą strumykiem, który obecnie był prawie wyschły. Ponad korytem jego jednak wznosił się most, a raczej nasyp dość wysoki, gdyż kolej żelazna tędy przechodziła. Wioska była po drugiej stronie strumyka, lecz nie trzeba było iść przez most, inna wygodniejsza droga prowadziła ztąd do domu państwa L. Ale Halince nagle przyszło do głowy, żeby iść prosto.

— Poco mamy się wlec konieczne gościńcem — zawołała — po tamtej stronie mostu rosną prześliczne storczyki, muszę ich narwać konieczne do bukietu. Przejdźmy przez mostek, tam wprawdzie ścieżki niema, ale czyż i tak nie trafimy do domu?

— Ale tam musi być wilgoć, panno Halino — odezwał się Stefan, który zawsze jakoś zapominał o przycinkach młodej dziewczyny i na nowe żarty się narażał — zresztą już i rosa będzie wieczorem. Lepiej idźmy drogą.

— O, jeżeli pan Stefan obawia się o siebie lub o swoje buciki — rzekła z przekąsem Halina — to może sobie iść drogą, a ja idę przez most. Kto łaskaw za mną!

— Ależ, panno Halino — mówił dalej Stefan — przez ten mostek niebezpiecznie jest przechodzić, a gdyby kole nadjechała nagle?

— Ach! — wszystkiego się obawiać, tożby życie obrzydło! — wykrzyknęła Halinka i pomknęła naprzód, a oddalwszy się trochę, dodała jeszcze dobitnie i głośno — nie ciebie tchórzostwa!



Darmo Konrad, spostrzegłszy odrazu, że siostra na przekór Stefanowi to szaleństwo robi, zaczął wołać za nią:

— Halinko, poczekaj, wróć się, Halinko!

Darmo towarzyszki pomagały mu, powtarzając donośnym głosem:

— Halinko, Halinko, wróć się, poczekaj!

Ona na nic nie zważała, była zniecierpliwiona, chciała postawić na swoim i biegła chyżo, już wstąpiła na most, gdy nagle usłyszała za sobą inny okrzyk, przeraźliwy, dziwny, jakby grozą nagłą powodowany. Halinka zatrzymała się, sama strwożona mimowoli i zaczęła nasłuchiwać, wtem uderzył ją odgłos straszny, gwizd lokomotywy. Spojrzała, po ciąg pędził prosto na nią, bo ona stała pośród szyn na moście.

W pierwszej chwili straciła głowę do tego stopnia, że poruszyć się nie mogła, potem zaczęła biedz, lecz potknęła się nieszczęśliwie o szyny i upadła. W uszach jej zaszumiało, i straciła zmysły.

Gdy Halina przyszła do siebie, leżała na trawie, a ktoś skrapiał jej skronie świeżą wodą. Otworzyła oczy i ujrzała nad sobą bledszą, niż zwykle w tej chwili twarz Stefana. Młodzieniec klęczał obok niej na trawie i wodą, którą czerpał ze swego kapelusza, bryzgał na nią delikatnie.

— O mój Boże! przecież pani przyszła do siebie. Tak się przestraszyłem okropnie, tak pani wyglądała, jak martwa.

Halinka powoli przypominała sobie swoją straszną przygodę, nie rozumiała tylko jakim sposobem uniknęła śmierci, wszak padła na szyny i nim przytomność straciła, słyszała wyraźnie gwizd lokomotywy i łoskot bieżącego w całym rozpędzie pociągu. A gdy tak ze zdumieniem i niepokojem spoglądała na Stefana, nadbiegła reszta towarzystwa. Konrad pierwszy przyskoczył do siostry, a widząc, że ocalona i siedzi spokojnie na trawie, rzucił się na szyję Stefana, wołając ze wzruszeniem:

— O, Stefku! Tyś ją od pewnej śmierci uratował. Mój Boże, jakąż wdzięczność winni ci jesteśmy. A toż prawdziwie czyn bohaterski, żebyś się był spóźnił o jedno mgnienie oka, zginąłbyś z nią razem. Patrzałem na to, podziwiałem twoję odwagę i przytomność umysłu. Ja także pragnąłem siostrę ratować, ale straciłem głowę, a ty, o Stefanie!...

— Daję pokój, daj pokój! — mówił Stefan, wyrывая się z objęć przyjaciela — uczył się człowiek przecież gimnastyki.

Halinka zrozumiała wszystko. Więc to on, ten Stefan, do którego miała jakieś niewytłómaczone uprzedzenie, z którego szydziła przy każdej sposobności i przed chwilą jeszcze rzuciła mu w oczy tak zuchwale zarzut tchórzostwa; więc to on ją uratował z narażeniem własnego życia! Trzeba oddać sprawiedliwość Halince, jak tylko błąd swój poznała, zapragnęła gorąco go naprawić, zbliżyła się do Stefana i ze łzami w oczach mu dziękowała, potem prosiła o przebaczenie, ale on udał, że nie rozumie wcale, za co go przeproszać miała.

— Ja sędzę — odezwał się po chwili, gdy już ochłonęli wszyscy i poszli dalej ku domowi — że lepiej nie wspominać w obecności państwa L. o tym całym wypadku. Darmo się tylko przerażają, a skoro wszystko szczęśliwie się skończyło...

— Możeby doprawdy nic nie mówić? — dodał Konrad

— O nie, nie! — zawołała Halinka — nie można nic ukrywać przed rodzicami, ja sama opowiem całą prawdę mamie, a w duszy pomyślała — Jaki on dobry, szlachetny, nie chce się nawet pochwalić bohaterskim swym czynem, nie chce, żeby mu rodzice dziękowali. O, jakżem się na nim omyliła!

Od tej pory Halina stała się rozważniejszą i nigdy ludzi nie sądziła z pozorów.

## GWIAZDKA.

Komedyjka w jednym akcie

Bożeny Kwapiłowej,

przełożyła z czeskiego hr. LUCYNA STADNICKA.

(Walerkowi, Brońcowi i Stefcowi Juryewiczom tę komedyjkę poświęca tłumaczka).

(Dokończenie).

PANI ROŻNOWSKA.

O drogie, pocziwe dzieci! Jakżeście się pomęczyły, a twarzyczki aż wam płoną z radości, żeście przyniosły takie piękne i pożyteczne rzeczy.

KLARA.

Ach! jakbo dziś pięknie na świecie! Zdaje się, że w nocy weźmie dobry mróz, przechodząc widziałyśmy zamazane okna, a na wystawach prawie nic już dojrzeć nie można było z powodu mroźnych kwiatów. A jednak tyle jeszcze ślicznych rzeczy błyszczało poza niemi, aż się serce radowało...

RÓZIA (staje z Józinką przy oknie i wskazuje na niebo).

Babuńciu! ja już widzę pierwszą gwiazdkę!

JÓZINKA.

I ja także widzę. Patrzcie, jak migocze! (Wszyscy ciszą się do okna, które otwierają, widząc krajobraz pokryty śniegiem oświetlony srebrnym światłem księżycą i kawałek nieba usianym gwiazdami).

MILADA.

A tam dalej dwie nowe gwiazdki, i jeszcze nowe, tam tam...

PANI ROŻNOWSKA.

A więc zapalajcie świeczki na drzewku, kochanki moje! Dzieciątko Jezus się zbliża.

KLARA (patrząc ciągle w okno).

A kochany miesiąc, jak srebrna łódeczka chwieje się na niebie; a to śliczne, modre niebo, całe usiane gwiazdami!

RÓZIA.

To tak na raz wyroiło się miliony aniołków. Patrzcie Józinko, gdzie przelatują z Dzieciątkiem Jezus, tam pod ich stopkami zostają takie ślady. Babuńcia nam mówiła.

JÓZINKA.

To już Dzieciątko zbliża się do nas.

WŁADZIO (zapalając wraz z Bogusiem świeczki).

Błogosławiony wieczór, droga, tajemnicza uroczystość! (Pod oknem odzywa się cichy, miły śpiew koledujących: „Chryśtus się nam narodził”).

PANI ROŻNOWSKA (patrząc w okno).

A to już nasi kolendnicy, Antoś i Marysia. Chodźcie tu bliżej, chodźcie bliżej, tu macie kolendę. (Otwiera drzwi w głąb domu wiodące).

(Wszystkie dzieci bardzo wzruszone).

KLARA.

Babciu, proszę nas nie wydać, chcemy być niepoznanymi jak Dzieciątko Jezus.

JÓZINKA.

Tak, tak, niech myślą, że to od małego Jezusa.

## Scena VII.

Ciż SAMI, ANTOŚ I MARYSIA.

(Wchodzą ubogo ubrani i stoją w podziwieniu).

PANI ROŻNOWSKA (biorąc ich uprzejmie za ręce prowadzi do drzewka).

Oto patrzcie, dzianki, co dla was przysłał małyutki Jezus...



ANTOŚ (*zmieszczany kręci czapkę w rękę*).  
Jakto, wielmożna pani, to wszystko dla nas?

MARYSIA (*tuląc się do niego*).

A widzisz, Antosiu, matusia nam obiecała, że się za nas odlicić będzie do pana Jezusa. Boże! jakież to śliczności!

ANTOŚ (*przecierając oczy*).

Mnie się aż w oczach ćmi, bo pomyśl tylko, Marysiu, boje możemy sobie obrywać to drzewko...

MARYSIA (*składając ręce*).

O dobry, mały Jezu! Tyś pamiętał i o nas!

PANI ROŻNOWSKA.

Chodźcież tu i wy, dzieci i pokażcie im podać.

*Chłopcy biorą czapkę i tekę i ubierają Antosia*).

WŁADZIO.

Jak mu do twarzy!

BOGUŚ.

A co teka? ładna, patrz!

ANTOŚ (*z radosnym uśmiechem*).

Otom szczęśliwy! patrz, Marysiu, będę miał ową czapkę i tekę, to dopiero ze mnie zuch!...

MARYSIA (*którą panienki ubierają w futerko i kapturek*).

I ja także będę cała nowa, nie poznasz mnie, Antosiu, (*bierze na rękę koszyk i zbliża się do niego*). Patrz, jakie mam futerko, to dopiero cięś! (*głaszcze obszycie przy rękawie*).

ANTOŚ.

A w tece mojej tyle książek! O! malutki Jezus nas wysłuchał, dał nam to wszystko, czegośmy najbardziej pragnęli, (*Chłopcy uśmiechają się do niego*).

MILADA.

A ty, Marysiu, czyś także rada?

MARYSIA.

Ja, panienko! nigdy jeszcze w życiu nie dostałam tyle od małego Jezusa, dawniej dawał nam tylko trochę jabłek i orzechów.

ANTOŚ.

A przy wieczerzy każde z nas miało przed sobą talerzem zapaloną świeczkę ze złotymi literkami, a matunia się z nami modliła.

MARYSIA.

W tym roku dał nam Jezusek tyle rzeczy, zapewne dla tego, że już matusi nie mamy; wziął ją do nieba.

ANTOŚ.

Kiedyśmy tu szli, zgadywaliśmy, która gwiazdeczka jest matusina; Marysia ją zaraz poznała, że wszystkich była najjaśniejsza i najprzód się do nas uśmiechnęła.

(*Słychać uderzenia wieżowego zegaru, który wybija szóstą godzinę*).

PANI ROŻNOWSKA.

Już szósta. Pobawcie się, dziatki, jeszcze chwilę, wtem drzewkiem, a potem pójdziecie do księdza proboszcza. Nie powinniście się spóźniać, bo będziecie dziś wieczerzać z nim razem.

MARYSIA.

Ach! mnie to drzewko będzie się całą noc śniło, takie śliczne, jakby z nieba zesłane.

PANI ROŻNOWSKA.

Podarunki możecie zaraz zabrać z sobą, a drzewko wam odeślę do waszego mieszkania albo przyjdźcie tu jutro, jeżeli chcecie, żeby je oberwać.

KLARA.

Przyjdźcie lepiej do nas.

RÓZIA.

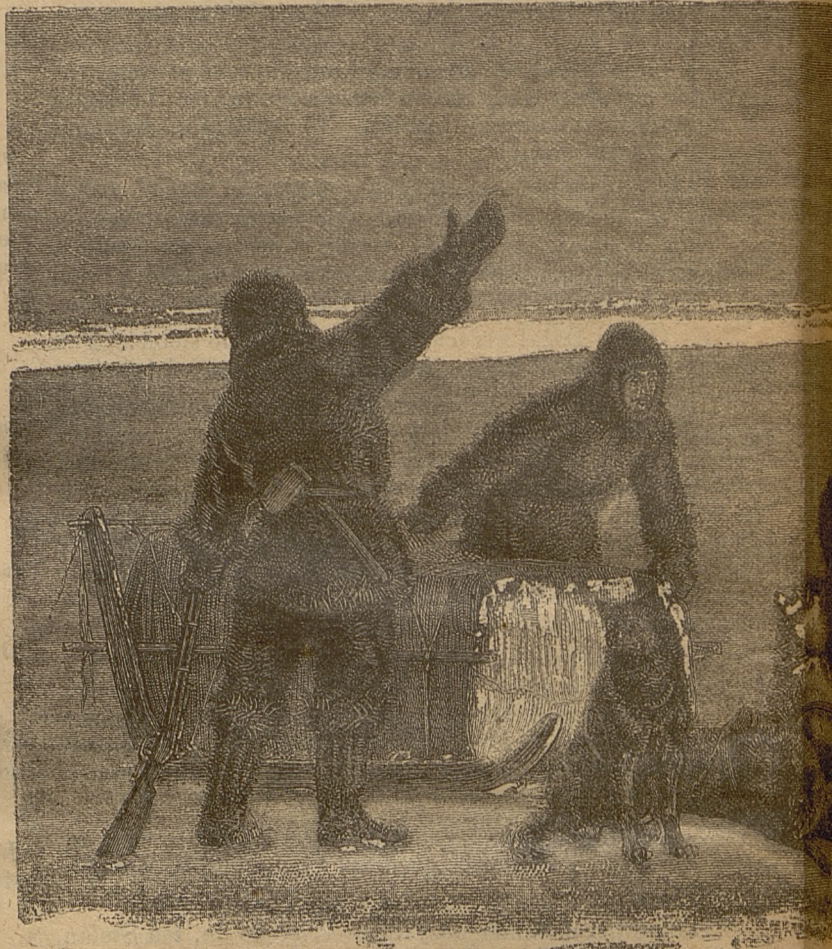
Razem bawić się będziemy, ja pewnie dostanę nowe zabawki.

PANI ROŻNOWSKA.

Przyjdźcie do nas zaraz z kościoła, na cały dzień.

ANTOŚ.

O, dziękujemy wielmożnej pani.



oddać przysługę, i zrobić przyjemność. Jedźcie więc, dziatki, wprost na probostwo.

MILADA.

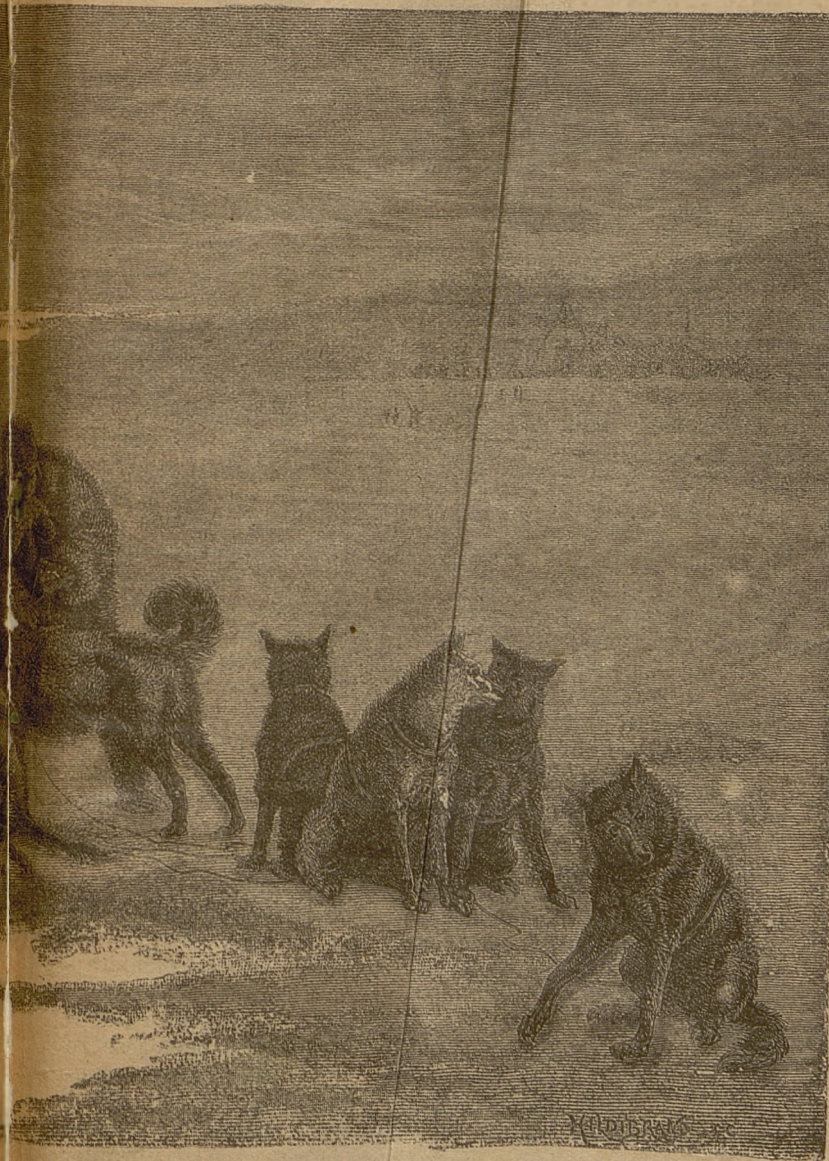
Dobrze, dobrze, jedźcie z nami.

JÓZINKA.

Oto dopiero będzie nam wesoło!

PANI ROŻNOWSKA.

A jutro proszę wszystkich do siebie.



MILADA.

Jeżeli pani pozwoli, przyjdziemy niezawodnie, ale dopiero po południu.

BOGUŚ.

Tak przepysznie bawiliśmy się dzisiaj, nigdy nie zapomnę tego wigilijnego wieczoru.

KLARA (*całując Miladę*).

Serdecznie wam dziękuję, żeście nam dopomogli, (*cicho*) widziałas, Milado, jak się te dzieci ucieszyły.

RÓZIA (*odprowadzając Józinkę do drzwi*).

Do widzenia, Józinko.

(*Dzieci p. Wroczyńskich całują p. Rożnowską w rękę i żegnają się z dziećmi*).

BOGUŚ (*odwraca się we drzwiach*).

Życzę ci szczęścia, Władziu (*ciszéj*) a o Antosiu będziemy i nadal pamiętali oba, prawda?...

(*Antoś i Marysia, trzymając się za ręce, jeszcze się oglądają za drzewkiem*).

ANTOŚ.

Dziękujemy po tysiąc razy wielmożnej pani.

MARYSIA.

Całuję rączki, dobranoc.

PANI ROŻNOWSKA.

Bądźcie zdrowe, dziatki.

KLARA.

Dobranoc.

WŁADZIO.

Z Bogiem.

RÓZIA.

Do widzenia jutro.

## Scena VIII.

PANI ROŻNOWSKA, KLARA, WŁADZIO, RÓZIA.

WŁADZIO.

Nigdy w życiu nie czułem w sercu tak wielkiej radości.

RÓZIA.

Ani ja też (*do siebie*). Jak to dobrze, żeś nic z drzewka nie zjadła, nawet tego jednego daktyla.

KLARA (*kładzie rękę na sercu*).

Babunieczko droga, dlaczegośmy tak szczęśliwi?

PANI ROŻNOWSKA.

Boście spełnili pocziwy uczynek, ukochani moi! Każdy dar, ofirowany biednemu, jak jasna gwiazdka promienieje wam w serduszkach; a przyświecać wam ona będzie radością i szczęściem przez całe życie.

RÓZIA.

Babuńciu, i ja mam gwiazdeczkę w sercu! (*Pani Rożnowska z uśmiechem gładzi jej włoski*).

GŁOS ZA SCENĄ.

Dzieci! dzieci!

WŁADZIO.

Mateczka nas woła, Dzieciątko Jezus już jest u nas! (*Wszyscy z radością wybiegają za drzwi. Słychać dźwięk kolendowego dzwoneczka*).

## WSRÓD ŚNIEGÓW.

(Urywek z podróży.)

— Znowu dzień zmarnowany!... — mruknął Edmund, wchodząc do budy, obłożonej ziemią i zasypanej śniegiem tak, że stanąwszy w jej drzwiach trzeba było przysiąść i spuścić się w dół jej wnętrza, nogi wsuwając najprzód, bo poziom śniegu zewnątrz był teraz daleko wyższym, niż rzeczywisty poziom, na którym zbudowaliśmy chatę: wyglądała jakby zapadła się w ziemię, gdy tymczasem to śnieg ją tylko zasypał. Edmund postawił strzelbę w kącie, powiesił futrzany kaftan z kapturem, zdjawszy go z siebie, zdjął olbrzymie buty futrzane, i mimo to, pozostając cały w obcisłym ubraniu futrzanym, siadł przy ogniu, przy którym gotowałem suszoną rybę na wspólną wieczerzę. W chwilę później wszedł tak samo i siadł przy ogniu Ernest, zarówno zgnębiony i z próżni rękoma. Wczoraj ja wychodziłem a Ernest sprawował



## List z Warszawy.

Z ZADANIEM KONKURSOWEM.

obowiązek gospodyni i ja tak właśnie wracałem smutny, jak oni dżumaj: podałem wieczerkę i jedząc zaczęliśmy się naradzać:

— Co tu robić dalej? Okolica ogołocona jest zupełnie ze zwierzyny, nie można nic upolować.

— A tymczasem, jak nie przysposobimy zapasu futer, to nie będzie co sprzedać w mieście i przyjdzie zginąć bez grosza i bez najkonieczniejszych potrzeb w tej norze!

Czyba puścimy się na dalsze wycieczki do okolic, gdzie nie wytępiono jeszcze zwierzyny?

— Czy tylko damy sobie radę bez przewodnika? Gdyby był przewodnik, zrobilibyśmy to oczywiście.

A jednak po kilku dniach jeszcze bezrobocia musimy odważyć się na niebezpieczną wycieczkę. Po naradzie wynajęliśmy u sąsiadów krajowców zaprzęg z ośmiu psów i lekkich mocnych sani, włożyliśmy na nie trochę żywności i puściliśmy się w podróż, z największą uwagą kierując się aby potem drogę odnaleźć na powrót. W dwadzieścia sześć godzin dosięgliśmy lasu i zrobiwszy sobie legowisko, niby namiętnie ze skór, jakie mieliśmy z sobą, przespaliśmy się w niem bardzo ciepło, bo gromadnie z psami i nazajutrz, pożywiwszy psy, rozpoczęliśmy polowanie. Opowieści o obfitości zwierzyny w tej stronie lasów nie zawiodły nas bynajmniej. Gronostaje i lisy przemykały się tu i tam na wszystkie strony, a soboli w życiu mojem nie widziałem do owego czasu tyle, ile ich ubiliśmy we trzech dnia tego. Psiska rozumiały podobno doskonale naszą robotę, bo schowawszy się do naszego legowiska starały się nam widocznie nie przeszkadzać. Miały doskonałą gratkę, bo spały lub jadły, ile mogły, co rzadko niezmiennie im się zdarza, a my wobec ofitości zwierzyny schowaliśmy starannie mały zapas, wzięty z domu dla nich i dla siebie. Po kilku dniach pracy, naładowawszy sanie sobolowym drobiazgiem, ile tylko biedne psiska uciągnąć mogły, puściliśmy się w powrotną drogę, bardzo zadowoleni z wyprawy. Dopiero nad wieczorem drugiego dnia po całodziennym marszu, Edmund, idący pierwszy i prowadzący zaprzęg, zwrócił się nagle ku nam, błądy jak ściana i stanął:

— Czy pewni jesteście, że idziemy dobrą drogą? — zapytał — czy przypominacie sobie, że \* n krajowiec, który nam psy wynajął, coś mówił, coś, żeby z powrotem nie prowadzić Nura?... a ja go dotąd ciągle prowadziłem...

Obejrzelśmy się dokoła i struchleli, noc się zbliżała, byliśmy już dwadzieścia cztery godziny w drodze, zatem okolica powinna nam być znajoma, jako sąsiadująca z naszym mieszkaniem, a tymczasem nie poznawaliśmy jej zupełnie: zbladliśmy niechybnie, bo Nur, najroztropniejszy z psów, szedł ciągle za Edmundem, który pomylił się wśród tych przestrzeni pokrytych śniegiem, bez śladu ludzkiego istnienia. Psy zmęczone pokładły się zaraz, gdy tylko stanął Edmund. Przez chwilę nie wiedzieliśmy, co robić. Nareszcie po naradzie podaliśmy każdemu psu po kilka śledzi, stanowiących zapas wzięty z domu, bo przez chciwość, aby więcej futer набrać na sanie, nie wzięliśmy świeżej zwierzyny. Gdy się psy posiliły i odpoczęły, zaczęliśmy je głaskać, pieścić i przemawiać, jakby do ludzi, zachęcając, aby szły:

— Do domu! Do domu, pieski, same do domu!

Gdy nareszcie Nur wstał z ziemi, otrząsł się i spojrzawszy po nas począł węszyć... nabraliśmy otuchy. Po chwili pies przewodnik kichnął i ruszył w drogę, w bok, wcale nie tam, gdzie szedł dotąd Edmund, na którego Nur spojrział przytem, jakby mówił:

— Otóż tedy widzisz iść trzeba, niedołężny człowieku!

We dwadzieścia godzin dopiero, gdy pieski poczciwe upadły już ze znużenia, poznaliśmy okolicę i ujrzelśmy wreszcie w oddali zabudowania Wierchniokołymska, a mieszkańcy, sąsiedzi nasi, przybyli nam wkrótce z pomocą. Gdyby nie Nur poczciwy, bylibyśmy zginęli wraz z bogatym futer ładunkiem, zbiwszy się z drogi daleko.

Zaledwie pierwszy list mój w świat wyfrunął, a już występuje z drugim. Ach! długo zadawałam sobie pytanie, czy to zuchwalstwo, czy też dozwolona, szlachetna odwaga z mojej strony zajmować miejsce dawniejszych zasłużonych korespondentów? Do jakiego przekonania doszłam w końcu, dziś jeszcze nie powiem, nie ma też miejsca w Pisemku na próżną gadaninę, bo to Nr. ostatni, wszystkie rozpoczęte opowiadania muszą być pokończone, aby nowo przybywający czytelnicy nie mieli zaraz na początku samych dalszych ciągów, co jest rzeczą niezbyt miłą.

W poprzednim liście donosiłam o nowych książkach dla młodzieży, muszę dodać do tego wiadomość, że w tych dniach wyszła jeszcze wyborna „Zoologia” napisana przez profesora Wrześniewskiego. Jest to wprawdzie dzieło poważne, zaliczone do „Biblioteki nauk przyrodniczych”, wydawanej przez pp. Gebethnera i Wolffa, lecz śmiało polecić je można i młodzieży, jako wyborny podręcznik naukowy. Nieraz matki lub nauczycielki czytelników naszego Pisma proszą redakcyi o wskazanie dzieł tego rodzaju, sądzę więc, że im się przysłużyć tą wzmianką.

Chciałabym wam donieść coś zajmującego i ciekawego z Warszawy. W ostatnich czasach najwięcej mówiono o „Gwiazdce”; taką nazwę dano w tym roku urządzanej zwykle o tej porze na cele dobroczynne sprzedaży rozmaitych przedmiotów przez panie, które w pięknie przyozdobionej sali zasiadają jakby prawdziwe kupcowe przy wystawach sklepowych. Smutno to jest doprawdy, że ludzi potrzeba zwykle za pomocą jakiejś przynęty zachęcać do dobroczynności, bale, koncerty, widowiska, kiermasze urządzać, aby grosz dla ubogich złożyli. A jednak nie może być inaczej, bo jest dużo osób, które tego grosza dlatego jedynie nie składają, że o tem nie pomyślą, że nie mają tuż pod ręką sposobności do tego. Otóż trzeba im koniecznie tę sposobność nastęrczyć, niemałą też to jest zasługą bogatych pań i panów, że się temi sprawami zajmują.

W naszej redakcyi nie urządza się widowisk żadnych na cele dobroczynne, a jednak dużo ubogich dzieci błogosławi „Wieczory Rodzinne” i ich czytelników, bo ze skarbonki, do której dary wciąż prawie napływają, nie mało już otrzymali biedacy. Oto i teraz zbierze się zapewne na Gwiazdkę sporo datków, tak w pieniądzech, jak i w starem ubraniu. Wy zwłaszcza, koleżanki kochane, starsze i młodsze, pamiętajcie, że dobroczynność jest najpiękniejszą cnotą kobiety, pamiętajcie także o tem, że z drobnych ziarenek składa się miarka, a z groszaków ruble i dukaty powstają. Jeżeli która opóźniła się z datkiem, niech przysle choć późniiej, zima jeszcze długa, a ubogich dużo, bardzo dużo cierpi głód i zimno. Komu trudno zdobyć się na hojniejszą ofiarę, a w ciężkich czasach dzisiejszych takich jest najwięcej, niech przysle choć markę pocztową, jedno, kopiejkową nawet, a co do ubrania, to wszędzie, gdzie są dzieci, znajdzie się przedmiot jakiś całkiem już dla nich nieużyteczny, ubogim zaś każdy łachmańnek się przyda.

Wzięłam też na siebie obowiązek odpowiedzieć na odezwy korespondentek naszych, adresowane do Kazia i Zosi. A najpierw Kazio kazał oświadczyć wszystkim panienkom, które kwaskowatym troszkę tonem zapytują, dlaczego się tak nagle podał do dymisyi, nie pożegnawszy się z niemi, że pożegnanie byłoby tu nie na miejscu. On bowiem przestał być tylko korespondentem z Warszawy, przedstawivszy mnie na swoje miejsce, lecz z „Wieczorami” i czytelnikami ich nie myśli wcale się rozstawać. Ma zamiar pisywać i nadal, będąc jednak starszym i stateczniejszym, obrał sobie dział poważniejszy. Dotychczas nie podpisywał się na tych poważniejszych artykułach, ale myśli nad obraniem sobie pseudonymu po Nowym Roku i ciekawy jest niezmiennie, czy go dawne przyjaciółeczki pod nową tą postacią poznają?..



Do ciebie z kolei zwracam się, Świtezianko miła, stara zytelniczko i korespondentko „Wieczorów”. Liścik twój przetrwał całą redakcyą, trudno nam jednak wszystkim rozumieć, jak może Piśmanko nasze dla kogokolwiek być „zagraniem”? Czy zastanowiłaś się nad tem, Świtezianko, że cała Nr. z tyłu artykułami, dwoma dodatkami, rysunkami, kosztuje cię z opłatą pocztą nie całe 10 kop.? Czyż może być tak ubogie gospodarstwo, z którego by się nie dało zaoszczędzić na tydzień kop. 10? Przy tak dobrych chęciach, jak woje, przy takim zamięłowaniu do czytania, z pewnością najdzie się na to rada i pozostaniesz nadal zytelniczną „Wieczorów”. Ach! moja Świtezianko, gdyby redakcyą naszą mogła zniżyć cenę swego Pisma, gdyby mogła rozdawać je bezpłatnie, czy sądziłaby, że nie uczyniłaby tego? Ale wy tam aleko od miasta ani pojmujecie, jakie to kosztą pociągą za sobą wydawnictwo Piśmanko, za które tak niewiele płacicie. Wszak każdy Nr. „Wieczorów”, odstępowany prenumeratorem za kilka kop. kosztuje około 100 rs., licząc tylko najważniejsze wydatki na druk, papier i drzeworyty. Zdziwiona jesteś pewnie, Świtezianko kochana, jakto! zawołasz, że arkusik zadrukowanego papieru, tych parę rysunków, to jaka rzecz droga? O tak, wierząc mi, mówię ci czystą prawdę i jeżeli redakcyą może wam oddawać ten kosztowny Nr. za kilka kop. to jedynie dlatego, że się rozchodzi w różnych egzemplarzach. Policzyć, ilu to potrzeba na to prenumeratorem, aby się główne tylko kosztą wydawnictwa wróciły i nie mów nigdy, Świtezianko, że nasze „Wieczory” dla tego mogą być za drogie.

Przechodzę do innej kwestyi. Jak możesz przypuszczać nawet, Świtezianko, że kierowniczką naszego Pisma nie ubi listów, kreślonych ręką spracowaną, i grubą robotą zmęczoną? Jakże mało znasz tę, którą „kochaną panią” nazywasz! O, wierząc mi, nie zawsze i ona sama z piórem tylko miała do czynienia, nieraz jej palce od igły do krwi były pokłute, nagniecione od nożyczek, bo jako matka rodziny i gospodyni domu musiała się zapoznać z pracą rozmaitego rodzaju. Nikt też bardziej od niej nie szanuje pracy, nikt częściej nie powtarza dla nauki nam młodszym, że kobieta żadną robotą, najprostszą, najgrubszą, gardzić nie powinna. Jest to właśnie, jak ona powiada, wada nasza narodowa, nam się zdaje, że ręce nasze tylko do wykwinnych zajęć są stworzone. Patrzymy na Niemki, jak one umieją pogodzić wykształcenie z najprostszymi robotami. Sama, będąc w Niemczech z mamą w miejscu leczniczym, widziałam córki zamożnego urzędnika, które zrana zamyślały i sprzątały pokoje, potem uprasowały sobie świeże sukienki i zasiadały w ogródku z książkami.

O mój Boże! co też ja zrobiłam! rozgadałam się z tobą, kochana Świtezianko, a tu i miejsca mi już zabraknie na słówko życzliwe dla innych korespondentek. Ty szczególnie, Murzynko najdroższa, jakże mię pochwyliłaś za serce, boś najpierwsza odezwała się do Gołąbki pocztowej, i to tak przychylnie! Dzięki ci, liścik twój miły wielką jest dla mnie zachętą, oby tu tylko potrafiła sprawdzić twoje nadzieje. Ceny książek znajdziesz w ogłoszeniach.

A teraz czeka mię jeszcze przejście najtrudniejsze, czuję, że kropelki potu spływają mi po czole... mam bowiem dziś po raz pierwszy wystąpić z zadaniem konkursowem dla starszych czytelników i zytelniczek. Z młodszą dziatwą jakoś się załatwiłam bez tak wielkiego wzruszenia, lecz teraz inna sprawa. Długoletni korespondent Kazio miał już do tego wprawę, dowcipne też naprawdę obmyślał zadania, o, niemało sama nad niemi nałamałam głowy, a muszę tu zaznaczyć, że i nagrody brałam pod innym pseudonimem. Teraz z kolei ja mam te zadania podawać, potem odpowiedzi odczytywać i oceniać. O, koleżanki miłe! dodajcież mi otuchy, przesyłając jaknajliczniejsze odpowiedzi, będzie to najlepszym dowodem waszego zaufania i życzliwości. Tym razem własne moje położenie podało mi pomysł do zadania. Rozmyślałam tak długo nad tem, czy objęcie posady korespondentki jest zuchwalstwem, czy odwagą, aż nareszcie przyszło mi do głowy i wam podobne pytanie zadać.

Czem się różni odwaga od zuchwalstwa? Określić to treściwie, jasno, a następnie podać przykłady zuchwalstwa i odwagi, potwierdzające to określenie. Przykłady najlepiej brać z życia rzeczywistego, z własnego doświadczenia, z wydarzeń prawdziwych, lub wreszcie i z rzeczy czytanych. Do odpowiedzi trzeba dodać, i to koniecznie na tym samym papierze, nie na osobnych kartkach, imię i nazwisko prawdziwe, lata, adres dokładny, pseudonim do druku. Kto nie dopełni tych warunków, musi być wyłączony z konkursu. Odpowiedzi będą przyjmowane do 15 Lutego r. 1888.

O! żebyż ich tylko jaknajwięcej nadeszło. Nagrody już są przygotowane w redakcyi, bardzo ładne, aż mi serce rosło na myśl, że to ja je rozdawać będę! Pamiętam bowiem, z jaką szaloną radością otrzymałam kiedyś sama ładny notesik z napisem pamiątkowym; chowałam go pomiędzy najszacowniejszymi skarbkami. Zegnaj was w tym roku, zytelnicy i zytelniczki, do widzenia w następnym.

Serdeczna przyjaciółka

Gołąbka pocztowa.

## PROZA I POEZJA.

Lata jak fale płyną, wzdyma je wiatr losu, fale do brzegu płyną, rozbijają się o brzeg, i bałwan się rozprysnął, a nie niema po nim! Trochę piany, którą myją się suche piaski, trochę muszli, i rybek, i bryła bursztynu, co zaryła się do ziemi, wstydząc przed słońcem.

Z czasem, kiedy fala rozbije się o brzegi, nie pozostawi piany, bursztynu nie rzuci, o skały się rozprysnie, zmyje zimny kamień, i na postrach dla gminu wyniesie topielca. Nikt nie policzy fali, nie wywróży fali, nie przepowie pogody, burzy nie przepowie.

Z tej prozy przerobić dwie strofki poezyi, każdą o sześciu wierszach.

### Tajemnicza głoska.

Oran — kawa — mara — lin — mata — rok — rata —  
— bura — swary — ule — Omar — rysa — ryba — Seret —  
— ara — ono — suma — masa — osa — kos — bosa.

Wynaleść głoskę, która dodana do każdego z tych wyrazów zmienia jego znaczenie, tworząc wyraz inny.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 51 go.

### Niteczki Aryadny:

Zamiast kwiatków, zamiast wstążki,  
Kupowała Wańdzia książki,  
Ale żadnej nie czytała,  
Ot tak tylko, byle miała.  
Na to matka jej powiada:  
— Książka w szafce nic nie nada;  
Pszczołka z kwiatów miodek chwytą,  
Kto ma książki, niechaj czyta.

St. Jachowicz.

### Trójkąta geograficznego:

M	O	N	T	R	E	A	L
A	N	K	O	B	E	R	
K	A	L	M	A	R		
A	L	G	E	R			
S	A	N	A				
S	P	A					
A	A						
R							



## Homonimów:

Delin, taki był dawniej tytuł następcy tronu we Francji

## Skrzynka do listów.

**Samotnik** uprzyjemniłby sobie samotność swoją, pisując częściej do nas, o co go serdecznie prosimy. Łamigłówna dobrze ułożona, wydrukujemy ją z pewnością, chociaż nie zaraz.

**Pajaczek** bardzo dowcipnie wysnuł łamigłównę i zamieścił ją niecałkowicie. Mamy nadzieję, że nowe powieści i opowiadania, które przygotowujemy na rok następny, zadowolnią kochanego Pajaczka. Co do nagrody, tyle podajemy zadań konkursowych rozmaitego rodzaju, że kto tylko zechce wytrwać do wszystkich należeć, z pewnością nagrodę w końcu zdobędzie. Śliczny to musi być ten ogródek pełen róż i jak tam Pajaczkowi przyjemnie być musi wśród barw i woni!

**Borówka** dobrze ułożyła łamigłównę i niech tylko czeka cierpliwie, a ujrzy ją pewnie w druku.

**Lis z Mazowsza** wielką nam sprawił przyjemność długim i zajmującym listem. Dziękujemy siostrzyczce, że go do tego namówiła. Wszelkie wiadomości, dotyczące się domowego życia naszych korespondentów, są dla nas ciekawe, bo się z nimi tym sposobem bliżej zapoznać możemy. Figielek zapomniiał o nas zupełnie, może ta wzmianka o jego osobie pobudzi go do przerywania uporczywego milczenia. Łamigłównę wydrukujemy. Co do nut, tych z wielu przyczyn nie możemy podawać w „Wieczorach”.

**Cyganećka z nad Wisły** musiała zasłużyć na nagrodę, skoro ją dostała, bo je wyznaczano z zupełną bezstronnością. Ale kochana Cyganećka mieszkając w Warszawie, może przysłać kogo po nią do redakcji.

**Jesień** nigdy nam się nie naprzykrzy długimi listkami, chociaż z konieczności i z żalem wielkim nieraz króciutko odpowiadać musimy.

**Hucutka z Czarnego potoka** ubawiła nas swoim zapytaniem. Żadna redakcja nie może wiedzieć, kto mieszka w tej lub owej wiosce, lub czy istnieje rodzina pewnego nazwiska. Podawanie takich wiadomości prywatnych nie należy do obowiązków redakcyjnych. Wierszyki nie będą drukowane. Jest w nich pewna zdolność, lecz jeszcze nie wyrobiona.

**Pegaz Skrzydlaty** powinienby się pocieszać myślą, że redakcja postępuje z nim tak samo, jak z innymi korespondentami. Wszystkim odpowiadamy, że łamigłówek niepodobna wydrukować zaraz, a czasem i wcale miejsca na nie niema, co do wierszyków i powiastek, bardzo rzadko je przyjmujemy.

**Stokrotka polnej białej** dziękujemy za ładny listek i przesłane w nim wiadomości, jako stała a bardzo miła korespondentka, wybaczy nam na ten raz Stokrotka, że tak króciutką dajemy jej odpowiedź dla braku miejsca.

**Konwalia żmudzka** jest troszkę nieuważna. Odpowiedź na zadanie, listek, zagadkę, umieściła na jednym arkuszu, a adres na kartce osobnej. Zawsze jednak prosimy, aby podpis i adres był wypisany tuż przy odpowiedzi, bo osobne karteczki się zarzucają. Listki zaś do innych panienek powinny być pisane oddzielnie. Drobne te szczegóły są łatwe do spamiętania, a dużo nam oszczędzają kłopotu.

**Marychne Ch. w Szczuczynie** możemy polecić Pisemko niemieckie „Kinderfreund” dla starszych „Kinderlaube”. Jedno i drugie kosztuje 3 rs. 20 kop. można wypisać przez każdą księgarnię.

**Polkę i Wiejską dziewczeczkę** pozdrawia Jesień, donosi, że ma lat 14 nazywa się Marya, mieszka w Płocku, ma starszą siostrę,

która ją uczy, drugą młodszą i trzech braciśzków. Jesień prosi o odpowiedź.

**Polce i Krakowiance** przesyła pozdrowienia Konwalia Żmudzka, donosi, że ma imię Stefcia, lat 12 uczy się w domu wujostwa z koleżanką Zosią. Prosi o odpowiedź.

### Na Gwiazdkę dla ubogich dzieci nadesłali:

**Pieniądze:** Koteczka biała rs. 1. — Brzózka z nad Słuczy rs. 1. — Wacek i Manusia rs. 3. — Kukulka i Bocianka z nad Sanny z towarzyszkami rs. 2. — Kotek z Podola rs. 1. — Wajdelotka rs. 2. — Wróbliczka z pod Zamościa rs. 1. — Rosiczka z nad Rowu, Córka Mazurów i Derkacz z nad Rowu rs. 5. — Zosia i Lonia rs. 5. — Detyna rs. 1 — Azalea różowa rs. 1.

**Ubrania lub zabawki:** Sarenka z nad Moroczku. — Topolka srebrna. — Chmurka złocista. — M. J. — Helenka, Henio i Hanka. — Żabka i kogut. — Bławatka z nad Horynia. — Wróbliczka z pod Zamościa. — Wołynianka i Figlarka. — Borówka.

W roku zeszłym pp. i pp. E. Jęłowicka, Zubełowicz, Zdrojewska, Perkowski i ks. kanonik Przybyłko przysłali niewłaściwie do redakcji po 30 kop. na przesyłkę Pamiętnika królewiczowej Konstancji Sobieskiej, który dołącza się bezpłatnie jedynie prenumeratorom *Kroniki Rodzinnej*, pieniądze te więc o ile nie zostaną przeznaczone na jakiś inny cel lub dalszą prenumeratę oddane zostaną ubogim.

Do nabycia za zniżoną cenę dla prenumeratorów **WIECZORÓW PAMIĘTNIK MARYI WESŁÓWNY KRÓLEWICZOWEJ KONSTANCJI SOBIESKIEJ**, cena rs. 1 kop. 35 za rs. 1 wraz z przesyłką pocztową i Przygody księcia Marcina Lubomirskiego cena rs. 1 kop. 20 za rs. 1.



### Skład główny i ekspedycja

### PRZEGŁĄDU PEDAGOGICZNEGO

począwszy od d. 1-go Stycznia 1888 r., mieścić się będzie w Księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr. 15, dokąd wszelką korespondencją z Redakcją i Administracją, tudzież przesyłki pieniężne

adresować wyłącznie prosimy.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa rozpoczęła już przyjmowanie prenumeraty na rok 1888.

### Warunki prenumeraty:

Cena „Przeglądu Pedagogicznego” czasopisma dwutygodniowego z podręcznikami i przewodnikami wynosi:

w WARSZAWIE Rocznie rs. 6. Półrocznie rs. 3. Kwartalnie rs. 1.

NA PROWINCYI tak w kraju jak zagranicą. Rocznie rs. 7. Półrocznie rs. 3 kop. 50. Kwartalnie rs. 1 kop. 75.

Redaktor i Wydawca

Floryan Łagowski.

**TREŚĆ:** Postanowienie. — Gołąb, wiersz p. Zetom. — Omyłka Haliny. — Gwiazdka, komedyjka Bożeny Kwapiłowej. — Wśród śniegów (z drzew.) — List z Warszawy z zadaniem konkursowym. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.